

CZY MOŻNA ZAPOMNIEĆ

Fragment z książki pod tym samym tytułem wydanej
przez Instytut Wydawniczy "Pax" w 1969 roku

Jest niedziela, 30 lipca 1944 roku. Świta. Idziemy przez gruzy getta. Po obu stronach ulicy posterunki esesmanów, na gruzach ciężkie karabiny maszynowe i psy na smyczach, przed nami i za nami pancerne samochody. Przez umysł przebiega gwałtowna refleksja - a może prowadzą nas na miejsce straceń? Jeszcze kilka kroków i westchnienie ulgi: na bocznicy stoi towarowy pociąg. Po stu wchodzimy do krytych wagonów. Kiedy okazało się, że zabrakło wagonów dla kobiet, które przyszły ostatnie, do naszego wagonu wtłoczono jeszcze dwudziestu pięciu mężczyzn. A więc ostatecznie jest nas stu dwudziestu pięciu na powierzchni 21,7 m².

Promienie wstającego słońca, pełzają po gruzach getta, przez okienka i drzwi wpadają do wnętrza wagonu, zapowiadając upalny dzień.

W pewnej chwili stwierdzamy z przerażeniem, że gestapowcy zabijają deskami okienka wagonu, pozostawiając wąską, dwu lub trzycentymetrową szparę. Co będzie jak zamkną drzwi? Przecież się udusimy. Za przykładem pomysłowych kolegów wszyscy uwalniamy ręce z drutów. Lekki wstrząs - doczepiono lokomotywę. Jeszcze chwila i ze złowróżebnym zgrzytem zatrzęsnięto drzwi. W wagonie panuje półmrok i ponura cisza. Po kilkunastu minutach pociąg ruszył.

Temperatura gwałtownie wzrasta, pot równocześnie pojawia się na całym ciele. Stopniowo zdejmujemy z siebie wszelkie okrycia. Nagle, wśród ciszy przerywanej tylko szumem przyspieszonych oddechów, ze środka wagonu krzyczy młody chłopak:

- Jezu, nie mogę oddychać. Duszę się.

Krzyk ten to jest nagły wstrząs ... Śmierć. Śmierć przez uduszenie. I kiedy koledzy, stojący obok błagającego o pomoc, przepychają go do wąskiej szpary w okienku, krzyżują się urywane zdania:

- Wybić okienka.

- Udusimy się wszyscy.

- Nie gadać, bo zużywamy więcej powietrza.

- Spokój, nie ruszać się.

Pod mocnym uderzeniem stojącego obok mnie kolegi okiennica ustępuje. Fala świeżego powietrza wpływa do wnętrza, ale ilość głosów proszących o pomoc zwiększa się. Potężny, przeraźliwy krzyk "Poowieeetrzaa, woody" dochodzi z całego pociągu.

Jedziemy trasą getto - Dworzec Zachodni. Ulicami, równoległymi do toru, kręcą się żandarmi na rowerach. Przy torze jakiś mały domek, przed nim dwie kobiety ocierają łzy.

A krzyk potężnieje z minuty na minutę. Bardziej przytomni starają się wszelkimi możliwymi sposobami odbić okienka, co w końcu

częściowo udaje się, ale temperatura wewnątrz wagonu nie spada. Skłębione nagie ciała błyszczą od potu. W wagonie unosi się pył cementu, leżącego grubą warstwą na podłodze.

Jedni tracą przytomność, inni, szukając wyzwolenia, tratuja się nawzajem. U wielu zawodzą nerwy. Ktoś krzyczy:

- Durnie myślicie, że wiozą nas do obozu koncentracyjnego? Chcą nas poprostu wydusić. Jak Żydów. Po to cement w wagonie, po to pozabijane okna. Ale my nie damy się - rozbijemy wagon i hura na szwabów. Precz z bydlęm, które nie umie walczyć o swoje życie.

I w napadzie furii zaczął bić najbliższych stojących. Wyciągnęło się do niego kilka rąk, chwyciły go za gardło, ściągnęły na podłogę. Walka trwała długo. Padały ciosy, przez ofiarę przewalały się ciała, a on walczył wydobywając nadludzkie siły. W końcu krzyk przeszedł w charczenie, aż zamarł zupełnie.

Ilu było w wagonie obłąkanych? Chyba w mniejszym lub większym stopniu wszyscy. Wyczerpani brakiem powietrza, obłąkani, konający ... Na pewno nie wiedzieli, gdzie są, co robią i kto znajduje się pod nimi, na pewno nie słyszeli błagającego głosu młodego człowieka. Spojrzałem na jego wykrzywioną bólem twarz i na zawsze zanotowałem w pamięci olbrzymie łzy, spływające po mokrych od potu policzkach. Rozumiałem, że to już jego ostatnie chwile, a jednak w umyśle moim nie powstała ani na moment chęć ratowania go - człowiek nie tylko niezdolny był do najmniejszego czynu, ale nawet do myślenia. Miałem szum w głowie, jakieś uciskające obręcze na piersiach, pamiętam jednak do dnia te łzy i błagalny szept:

- Pamiętajcie, moja matka ... Rembertów, ulica...

Biedna, nigdy się nie dowie, gdzie leży jej syn i w jakich warunkach umarł.

Wielu już nie żyło. Byli jednak i tacy, którzy mozolnie wycinali scyzorykami - w jaki sposób utrzymali je na Pawiaku? - otwory w ścianach, inni kręcili się bez przerwy, przeraźliwie krzycząc. Lekarz rosyjski ucisza nas twierdząc, że krzycząc więcej zużywamy powietrza, ale jest to głos na puszczy.

Wzrok notował pewne fragmenty tragedii, ale umysł nie był zdolny do wzbudzenia najmniejszej chociażby refleksji. Trudno uwierzyć, ale jednak tak było: wiedziałem, że siedzę na człowieku konającym, ale nie zdawałem sobie sprawy, że wstając ulżę mu, a może uratuję życie.

Zbliżało się południe. Temperatura w wagonie wzrastała, dwa okienka nie wpuszczały dostatecznej ilości powietrza. Krzyki przycichły. Nagle zerwał się nagi mężczyzna i skacząc po ciałach dopadł okienka, chcąc wyskoczyć przez nie. Stojący przy nim chwytają go za nogi, ale głowa i pół tułowia są już po tamtej stronie. Strzał - ciało zwisa bezwładnie...

Siedziałem na środku wagonu. Wstaję i z trudem przepycham się w stronę okienka. Po kilku krokach padam bez zmysłów...

Ile minut czy godzin upłynęło - nie wiem. Czuję mocne uderzenie w twarz i na moment otwieram oczy. Po chwili znowu bezwład i tym razem pomału wraca przytomność. Leżę w gromadzie nagich, skłębionych ciał. Dłużej zatrzymuję wzrok na stojących przy okienku. Tylko oni czuli się stosunkowo dobrze.

Pociąg co chwilę zatrzymywał się. Gdzie byliśmy, jak długo jechaliśmy - nie wiedziałem. Dopiero wieczorem, kiedy do wystawionych przez okienko naczyń wlewał ktoś wodę, sytuacja uległa znacznej poprawie. Naczynie podawano w głąb wagonu, wydzierano

je sobie z rąk, woda wylewała się na leżących. Strumyki chłodnej wody, dla mnie ostrej i lodowatej, zbierałem dłonią z ciała i zwilżałem usta, język, skronie. Umysł zaczął wyraźniej funkcjonować. Ręką natrafiłem na miskę, z trudem przebiłem się do okienka i po chwili olbrzymimi haustami piłem zachłannie wodę. Odepchnięty mocno w pewnej chwili straciłem równowagę i upadłem.

Gdy obudziłem się w wagonie panowała zupełna cisza. Leżałem na trupach, na piersiach miałem czyjeś nogi, na kolanach głowę. Z trudem dźwignąłem się i w pozycji siedzącej rozglądałem się po wagonie. Paru ludzi stało, reszta leżała w kilku warstwach.

Słońce nie wyjrzało jeszcze zza horyzontu, ale rozwidniało się już. Temperatura w wagonie była znośniejsza niż wczoraj, duży jednak trupi odór. Podniosłem się i podeszedłem do okienka i otwartymi ustami zachłannie piłem ostre powietrze.

Pociąg stał w polu. Przede mną leżała łąka, okryta gęstą mgłą. Na trawie połyskiwały olbrzymie, świecące krople rosy... Wyjść, ułożyć się na trawie, zwolżyć rosą język, skronie, całe ciało. Marzenie, które za chwilę miało się ziścić.

Co chwilę podnosił się ktoś, mamrotał niezrozumiałe wyrazy i podchodził do okienka. A przed wagonem kręcili się Niemcy. Stałi półkolem na łące, ustawili karabiny maszynowe, zwoływali psy, a kiedy każdy stał już na wyznaczonym miejscu, z hukiem otworzyły się drzwi. Fala świeżego powietrza buchnęła do wagonu.

Krótki gardłowy rozkaz:

- Wysiadać.

Wyskakujemy z wagonu, padamy na trawę. Rosa jest lodowato zimna, ale jakże miła w dotyku Tarzamy się, trzemy ciała o trawę, językami zbieramy krople rosy. A Niemcy otwierają następne wagony. Widzę starych znajomych z cel Pawiaka: Adama Szmigielskiego, Tomka Strusińskiego, Stacha Kiedrzyńskiego z Warszawy, Popiela z Lublina, Jana Koca z Miłosnej, Jana Sadowskiego z Bobrowników koło Łowicza. Twarze mają koloru ziemi, oczy głęboko zapadnięte. Podchodzę do nich.

- Jak się czujecie? - pytam.

- Wytrzymamy? - odpowiadają pytaniem.

- Długo już jedziemy?

- Dobę. Jesteśmy podobno koło Skierniewic.

- Ilu zginęło w waszych wagonach?

- Nie wiemy, ale wszędzie pełno trupów.

Niemcy zarządzają przeniesienie wszystkich zmarłych do jednego wagonu. Wyciągamy za nogi zniekształcone ciała, głowy przypominają ulepione z błota bryły. Z mojego wagonu wyciągnęliśmy trzydzieści trzy ciała. Jest wśród nich młody, pięknie zbudowany chłopak - Mietek, syn komendanta policji z Ostrowi Mazowieckiej; jest sołtys z tychże stron, który z taką radością przyjął wiadomość o ewakuacji; Michalski z Polesia, inżynier Metzner z Warszawy i wielu, wielu innych.

Na rozkaz "wsiadać" wchodzimy do wagonów, drzwi zamykają się. Dopiero teraz zdajemy sobie sprawę, jaki zaduch panuje wewnątrz. Odór zgniłego ciała jest tak wyraźny, że przerzucamy mokre ubrania w poszukiwaniu niezauważonego trupa.

W wagonie mamy nowych kolegów, część załogi wagonu, do którego wrzucaliśmy ciała zmarłych. Stojący obok mnie wyciągnął ze szmat kawałek boczkę, ugryzł, zaklął i wyrzucił przez okno. Spojrzałem zdziwiony.

- Śmierdzi trupem - wyjaśnił.

Pociąg ruszył. Przez kilka rannych godzin czuliśmy się znośnie. Dopiero koło południa znów zaczyna się męczarnia. I znowu zjawiają się zaburzenia umysłowe, krokami człowieka kieruje instynkt. Widzę w ścianie mały otwór, przy którym skupia się kilka głów - piją powietrze. Przepycham się do nich, ale mocne uderzenie pięści zwała mnie z nóg. Czołgam się w stronę innego otworu. Zagniewany głos krzyczy:

- Nie kręć się, czego tu szukasz?

- Leżałem tam dalej - odpowiadam - ale wyszedł jakiś człowiek z Marszałkowskiej ... Och, co ja mówię ...

Ktoś ciągnie mnie za rękę i popycha w stronę małej wyciętej scyzorykiem dziury. Jeden, dwa głębokie hausty przywracają przytomność. Odepchnięty, siadam na środku wagonu. Jestem szalenie zmęczony, oczy domagają się snu, ale walczę z nim, bo wiem, że jak usnę, to chyba na zawsze. Szczypię policzki, rozcieram skronie - oby tylko nie usnąć. I w tej chwili otwierają się drzwi. Niemcy podają nam po pół bochenka chleba. Wkładam kromkę do ust, ale jeść nie mogę, chleb kłuje wyschnięte podniebienie, nie chce przejść przez suche gardło. Widząc stojący przed wagonem kocioł z kawą, pośpiesznie szukamy naczyń. Nagle w drzwiach staje nagi mężczyzna z błędnymi oczami, twarzą wykrzywioną bólem i patrząc na Niemców krzyczy, z każdym słowem podnosząc głos:

- Przeklinam was, przeklinam wasze żony i dzieci... Zbrodniarze, mordercy.... Żeby ...

Krótką serią i ciało wali się na deski.

Wieczorem znów zabito okienka. Jesteśmy faktem tym przygnębieni, ale obmyślamy sposoby ucieczki. Och, gdyby można było wyrwać deskę z podłogi. Ale jak? - gołymi bezsilnymi rękami?

Przykucnąłem przy drzwiach i po chwili usnąłem. Przebudził mnie huk wystrzałów. Pociąg pędził wśród ciemności, a na dachach terkotały karabiny maszynowe. Czyżby próba odbicia?

W wagonie nieopisane zamieszanie. Nagie ciała kłębią się, jedni spychają drugich, każdy stara się dostać na podłogę, każdy chce być w środku, żeby w ten sposób uchronić się przed kulą, która w każdej chwili może przebić ścianę wagonu.

Tuż obok mnie leży mężczyzna i rozdzierającym głosem wrzeszczy: aaaa, aaaa Krzyk ten, brak powietrza, palące pragnienie, nieustanny huk wystrzałów powodują zaburzenia psychiczne, a te - halucynacje wzrokowe i urojone myśli ... Wydaje mi się, że jestem dozorcą domu dla psychicznie chorych. Tam za ścianą wre walka. Nie wejdę do nich, bo przecież mogą mnie zabić. Nagle - widzę olbrzymią skałę, do wnętrza której prowadzą ciężkie, okute drzwi - to piekło. Drzwi pomału otwierają się, z wnętrza skały wypełzają olbrzymie potwory z wyciągniętymi pazurami zbliżają się do mnie. Drżę ze strachu, przyciskam się mocniej do ściany. Potwory na krzywych nogach są tuż, tuż... Chcę krzyknąć - nie mogę. Boże! za chwilę uduszą mnie. Podświadomie pociągam dłońią po żelaznych okuiach drzwi, zbieram krople pary, zwilżam język i skronie. Widziadła znikają, a leżący obok mnie krzyczy bez przerwy: aaaaaaa. Słyszę w ciemności głos:

- Uduś go, bo Niemcy będą strzelać.

Bez chwili wahania ściskam leżącemu gardło i trzymam tak długo, długo Krzyk przechodzi w charczenie, milknie.

Ten sam głos podpowiada:

- Puść, już nie żyje.

Uśluchałem, ale po kilku minutach kładę rękę na sercu, leżącego i czuję lekkie bicie. Zwracam się w stronę, skąd dochodził głos:

- Żyje. Dusić go jeszcze?

- Jak będzie krzyczał, dusić.

- Nie krzyczał, spał.

Dopiero, rano pomału wracała świadomość. Padał deszcz. Do wystawionych przez okienka naczyń kapały z dachu krople rdzawej, gęstej wody. W pewnej chwili otworzyły się drzwi wagonu. Na peronie zauważyłem kałużę wody. Chwila namysłu, mobilizuję siły, skaczę i tarzam się w błocie, piję gęstą, brudną wodę. Czuję mocne kopnięcie w bok, ale nie mogę oderwać ust od czarnej mazi. Ponowne kopnięcie, chcę już wstać, w tej chwili jednak ktoś inny wyskakuje z wagonu, za nim drugi, piąty... Padają obok mnie, usta zanurzają w błocie. Niemiec zdejmuje pistolet, my z trudem wczołgujemy się do wagonu...

Piątego dnia podróży pociąg zatrzymał się na stacji Gross-Rosen. Nie wiem, ilu ludzi zostało w wagonie. Jesteśmy ubrani w mokre, śmierdzące szmaty. Na ramiona zarzuciłem koc, w rękę ściskam blaszaną miskę. Wielu kolegom za ubranie służy szmata zawiązana na biodrach. Oczy mamy zapadnięte, cerę ziemistą, chwiejemy się na nogach. Piątkami, otoczeni gęstymi posterunkami, idziemy przez wieś Gross-Rosen. Pogoda jest piękna, zapada zmrok. Na sąsiadujących z ulicami wolnych placach zebrały się grupki kobiet i dzieci, pokazują w naszą stronę palcami i śmieją się...

Po dłuższym męczącym marszu widzimy ponure kamieniołomy, a obok nich wejście do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Zdezorientowani, pełni złych przeczuć, czekaliśmy na dalszy bieg przeznaczenia. Wiedzieliśmy, że czeka nas transport, ale nikt nie umiał powiedzieć, kiedy i dokąd. Samo słowo "transport" napało mnie lękiem. Byle tylko nie pociągiem. Tak świeże były jeszcze wspomnienia z transportu warszawskiego, że sama myśl o "podróż" w tych warunkach była nie do przyjęcia.

Pamiętałem, że pierwsze godziny podróży z Warszawy pochłonęły najwięcej ofiar. Wszystko zależy od tego, po ilu nas załadują do wagonu. Przy upalnej pogodzie nawet kilka godzin takiej jazdy dla wielu będzie ostatnią podróżą.

- Wszystko jedno dokąd, obojętnie po co, byleby nie zostać tutaj - tłumaczył Kiedrzyński - Gorszego piekła już chyba być nie może, a jeżeli wywożą nas, to na pewno do jakiejś ludzkiej pracy, na której im zależy, dlatego i traktowanie musi być inne.

Tą samą drogą szliśmy do stacji, tym razem wyglądaliśmy jednak zupełnie inaczej: umundurowani w pasiaki, nowymi drewniakami wybijaliśmy równy takt. Mieszkańcy Gross-Rosen przyzwyczajeni byli widocznie do tak wyglądających więźniów, bo mijali nas obojętnie, nie szydzili i nie pokazywali w naszą stronę palcami.

Do krytych wagonów wypędzono nas po siedemdziesięciu pięciu. Okienka nie były zabite deskami i nie zamknięto szczelnie drzwi.

Piękną ziemią śląską jechaliśmy do nieznanego celu. Mijaliśmy wsie, osiedla, lasy, pola i po kilku godzinach zatrzymaliśmy się na stacji Brieg. Ta podróż nie przypominała ostatniego transportu z Pawiaka, nie było za ciasno, mieliśmy czym oddychać, nie byliśmy nawet głodni. Wprawdzie pogoda była wyjątkowo duszna i upalna, ale pęd pociągu wtłaczał do wagonu chłodne, orzeźwiające strumienie powietrza, przyjemnie muskające twarz i dłonie.

Byliśmy już dostatecznie wytresowani i Niemcy nie mieli wiele kłopotu z uformowaniem piątek na peronie. Obstawieni jak zwykle eskortą, szliśmy posłusznie ulicami miasta, wzbudzając ciekawość nielicznych gapiów. W Gross-Rosen maszerujące kolumny śpiewały w rytmie marsza niemieckie piosenki, co doskonale pomagało utrzymać równy krok, a równocześnie na obserwujących robiło wrażenie skoszarowanego na wzór wojska życia, my byliśmy za młodymi więźniami i szliśmy w absolutnej ciszy, gdyby wyeliminować równe uderzenia drewnianych butów o nawierzchnię ulic. Wiele wysiłku wkładałem w utrzymanie równego kroku, bo dosłownie z godziny na godzinę nogi miałem coraz bardziej spuchnięte, szczególnie w kostkach, a starta skóra na piętach i twardy brezent, z którego zrobione były cholewki butów także nie ułatwiała marszu. Na szczęście droga nie była zbyt długa. Tuż za miastem znajdowało się lotnisko - cel naszej podróży. Obok lotniska, za drutami kolczastymi, stały szeregami na murawie domki campingowe, dwuosobowe, zbudowane z płyt pilśniowych. Tylko dwa większe baraki, jeden przeznaczony na szpital, drugi na kuchnię, górowały nad rozległym miasteczkiem campingowym.

Była to jedna z wielu filii obozu macierzystego Gross-Rosen, nazywała się Arbeitslager Brieg, a więc obóz pracy. Radość nasza była wielka. Zdążyliśmy się dowiedzieć, że warunki w obozach pracy były bez porównania łagodniejsze niż w obozach koncentracyjnych. Najbliższa przyszłość miała potwierdzić te informacje.

W domkach znaleźliśmy tylko sienniki wypchane słomą i koce.

W jednym dwuosobowym domku zamieszkało nas pięciu.

Na wieczornym apelu starszy obozu, wysoki, potężnie zbudowany kryminalista niemiecki, ubrany w dresy, rudy, drab, chciał widocznie przenieść na teren obozu zwyczaje z Gross-Rosen, bo przygotował kozioł z okrągłaków i dał lekcję chłosty. Biedak na koźle, z naszego warszawskiego transportu, wił się, rzucał, wierzgał nogami, krzyczał, wył, i jęczał. Inni skazani na karę chłosty stali w pobliżu na dygocących nogach i z obłędnym strachem w oczach liczyli minuty dzielące ich od tortur.

Do starszego obozu podszedł oficer niemiecki - lotnik, powiedział kilka słów, których rudy wysłuchiwał wyprężony na baczność i czekający na chłostę więźniowie, nie wierząc własnemu szczęściu, odmaszerowali do szeregów.

Nigdzie tu nie widziałem esesmanów, tych chodzących symboli cierpień i śmierci. Ktoś szeptał w szeregu, radosnym od wzruszenia głosem, że władzę nad nami sprawować będą lotnicy, esesmanów w ogóle tu nie ma, i że w takich warunkach na pewno doczekamy jakoś końca wojny.

Nad nami co chwilę rozbrzmiewał warkot silników samolotowych lecących bardzo nisko nad ziemią, i w takich momentach śmiało można było wymienić kilka słów z najbliższymi sąsiadami.

- Ty, ale ten bandyta na pewno zemści się przy najbliższej okazji - powiedział Sadowski, pokazując wzrokiem rudego.

Rudy rzeczywiście wyglądał na speszonego i poniżonego. Nie ulegało wątpliwości, że prestiż jego mocno ucierpiał. Więźniowie dowiedzieli się przed chwilą jak gdyby oficjalnie, że w obozie pracy, w którym administracja znajduje się w rękach lotniczych wojsk lądowych, obowiązuje dyscyplina, ale bez uciekania się do potwornych metod, praktykowanych przez esesmanów.

- On chyba także boi się o swoją skórę, a wie, że możemy poskarżyć się oficerowi - odpowiedział Koc. - Chcąc zostać na funkcji, musi uważać.

Już pierwszego dnia pobytu w Groes-Rosen można było zauważyć, że stanowiska funkcyjnych obsadzone były starannie dobranymi zwyrodnialcami, sadystami, notorycznymi kryminalistami. Jeśli wśród tej zgrai sługusów esesmańskich znalazł się człowiek o prawym charakterze, musiał dyplomatycznie maskować swoje uczucia i tak w oczach Niemców, jak i innych funkcyjnych grać rolę bezwzględ- nego kata. Trudna to była sytuacja, ale i pokusa ułożenia sobie życia wyjątkowo silna. W warunkach obozowych każdy marzył chociaż- by o sprzątaniu ustępów - dawało to gwarancję pracy pod dachem i wiązało się z dodatkową porcją żuży. Inna sprawa, że zmiana oso- bowości w środowisku "prominentów" przychodziła wyjątkowo łatwo i trzeba było mieć nie lada mocny charakter, by po skosztowaniu nie- ograniczonej władzy i korzyści stąd płynących zachować ludzką twarz.



Muzeum Pawiaka. Korytarz więzienny i kilka cel przyziemia to Oddział VII i VIII-zrekonstruowany z fragmentów ocala- łych sklepień i murów. Po prawej stronie autentyczne drzwi z celi 126 wydobyte przy odgruzowywaniu Pawiaka. W głębi zamykająca korytarz obszerna sala-Mauzoleum z dokumentami kaźni i ekspozycją muzealną. Nr archiwum Gross-Rosen 2.4.6.1.

WAGONY ŚMIERCI

Chłodny maj się skończył, gdy aresztowano mnie w Warszawie na Placu Narutowicza. Jazda "budą" i Pawiak. Pięciu w jednej celu. Trzech nas dorosłych i dwóch młodych dzielnych harcerzy: Przemko i Zbyszek.

W lipcu Pawiak wiedział, że decydujące momenty nadchodzą; czerwona armia się zbliża i powstanie lada dzień wybuchnie.

Głuche detonacje z oddali, a nocą przez zakratowane okienko widać sunące po niebie smugi reflektorów. Burza się zbliża. Wymordują nas niemieckie katy, odbiją powstańcy czy oswobodzi armia czerwona? Mózgi pracują nad dociekaniem losów, a serca biją nadzieję.

Tymczasem w murach więziennych potężnieje wściekłość i terror oprawców. Przebraża się miarka bestialstw i upokorzeń, więc poryw nieobliczalny: bunt trzeciego oddziału.

Bunt wybuchnął po apelu wieczornym. Grupa zorganizowanych więźniów, z przygotowaną bronią, rzuciła się na dozorców. Wróg rozporządzał bronią maszynową. Więźniowie padali, mimo to walka trwała całą noc. Zabito czterech wachmistrzów i czterech ciężko raniono. Rano wyprowadzono na dziedziniec pozostałych. Część z nich rozstrzelano na terenie Ghetta, resztę na Palmirach. Protest honoru Polaków, katowanych przez obce kanale, kosztował życie przeszło dwustu wartościowych ludzi.

Mija ciężkie dwa tygodnie. Dozorcy coraz bardziej zdenerwowani. Nadeszła niedziela ostatnia przed powstaniem.

Zbudzono nas o wczesnym świcie i wypędzono z górą tysiąc więźniów na podwórzec więzienny. Po dusznej celi wciągamy pełną pierśią rześkie powietrze letniego ranka. Czym jest wolny oddech płuc czystym powietrzem, tworzącym cud życia w odświeżanej wciąż krwi, ten tylko ocenić może komu, jak rybie wodę, tlen odjęto i czyje przeżycia równają się żywcom w trumnie zagrzebanym lub zatopionym w podwodnej łodzi. Wielu z nas tego ranka po raz ostatni w życiu doznało powietrznej radości.

Na dziedzińcu skuto nas drutem po dwóch za ręce i marsz dwójkami obok wielkiej kupy bochenków chleba leżących na ziemi. Nie każdemu udaje się chwycić jedną wolną ręką dwa bochenki dla siebie i swego "sjamskiego brata".

Szybko następuje odmarsz czwórkami na teren ruin byłego żydowskiego ghetta, gdzie czeka pociąg na odosze kolejowej. Tu już mamy doświadczyć niemieckiej perfidii w zbiorowej kaźni i przedwstępnej katowskiej pracy z biciem i kopaniem.

Do niedużych towarowych wagonów ładują po sto i więcej więźniów. Upchnięte i ubite szczelnie żywe jeszcze ciała ludzkie przedstawiały jedną zwartą kołyszącą się i cicho szemrzącą masę. Dopchnięto ostatnich bitych kijami. Z trudem drzwi się zasunęły. Szczękneły zawory wagonów.

Pospolitego porównania "jak sardynki w pudełku" nie można stosować, rybki te już nie żyją, gdy je ściśle dopychają pokrywą, a my żyliśmy i czuliśmy dotkliwie przy swoich piersiach twardość pleców sąsiada, z boków - kościste ramiona innych, żebra zaś klatki piersiowej tłoczą plecy następnego.

Orientowałem się w sytuacji. Dzień upalny, okienka szczelnie zamknięte, dach na wagonie żelazny. Będzie duszno, może za duszno. Pierwszy wagon. Ściana od strony lokomotywy, więc podczas jazdy napór powietrza, może coś przez pory prześląknąć.

Była piąta rano gdy pociąg ruszył z Ghetta.

Niewidzialnymi szparkami przesącza się światło. Gorąco staje się coraz bardziej nieznośne.

Jako kolejarz znam dobrze węzeł warszawski, mogę informować, gdzie jesteście. Dworzec Gdański, potem pustka pod kołami, a więc most na Wiśle. Pociąg stanął i stoi długo. Cofnięto go z powrotem. I znów na Gdańskim parę godzin, a potem żółwym krokiem po linii otaczającej Warszawę. Minuty stają się godzinami, a godziny wiekiem.

- Jedź! Jedź! Skracaj mękę!

Słońce praży z góry. Dach rozpalony - żar. Tlen się wyczerpuje. Szczelinki przy drzwiach i oknach nie wystarczają na dopływ potrzebnego powietrza. Dwutlenek węgla z wydechów zaczyna Pot spływa po twarzach i pierściach. Zwykła cywilna odzież pali. Więc szamotanie się z odzieżą i drutem. Esesmani zapowiedzieli: "kto się rozkuje - kula w łeb".

- Trudno, niech zginę! - mówi niejeden - muszę mieć ręce wolne!

Skręca drut, kaleczy palce i przeguby rąk. Krew z nich ścieka, ale wnet podnosi wolne ręce, zdziera z siebie odzież i rzuca ją pod nogi.

Z masy nagich ciał idzie odór potu zmieszany z okropnym fetorem kału, do tego dwutlenek węgla wyrzucany ze studwudziestu par płuc.

Silna wola chce działać, chce pokonać patologiczny lęk, co się już wkrada do chorych z zatrucia serc. Wola męska pragnie bezskutecznie rozepchnąć żelazem okute deski zbiorowej trumny, wie że za tą drewnianą ścianką jest wolny wdech życia: błogie, kochane, czyste powietrze.

Z umęczonej masy ciał wykwita bohaterstwo, czasem wypełza gniew na sąsiada, częściej ciche poświęcenie.

Pogodnie uśmiechnięty doktor Z. pociesza, wierzy w przetrwanie i radzi nie robić wysiłków, oszczędzać siły i tlen.

Tymczasem młody Zbyszek, co czarodziejskim sposobem, mimo tylokrotnych rewizji, zachował przy sobie swój nóż harcerski, już wyrzyna szparę w twardej ścianie wagonu.

- Co robisz Zbyszku - wołam do niego - Nie dasz rady. Wyczerpiesz siły i padniesz.

- Muszę. Nie widzi pan, że B. sinieje. Dusi się.

I pracuje z pośpiechem, aby ratować przyjaciela.

Słabsi osuwają się pomiędzy nogi silniejszych w sferę większego zaduchu i jeszcze mniejszej ilości tlenu, więc jęki niesamowite.

Najstraszniejsze godziny popołudniowe odeszły. Pociąg jest jeszcze na terenie przedmieścia warszawskiego "Koło" a tortury w wagonach dochodzą do kulminacyjnego punktu.

Coraz częściej krzyk: - Powietrza! Wody!!!

Piersi coraz szybciej się wznoszą, słychać w nich rżenia, słychać charkot. Trujące gazy porażają płuca i mózg. Niektórzy tracą przytomność, wpadają w szal. Ginie koleżeństwo, opanowanie, wola, ginie etyka przy zmaganiach życia ze śmiercią.

- Duszę się! Ratunku! Dobijcie mnie!

Twarz sina, krwawa plana na ustach. Palce kurczowo chwytają sąsiada, wpijają się w jego ramię i za chwilę sięgają do gardła.

Szaleniec dusi sąsiada. Przytomniejsi śpieszą mu z pomocą. Doktor Z. z całą mocą bohaterskiego ducha panuje nad sobą, uśmiecha się, choć przeżywa okropne męki. Tuż przy nim stojący oszalały G. uderza doktora dwukrotnie pięścią w serce. Ów nie ma siły na walkę. Na usta występuje mu krwawa piana, osuwa się na podłogę i kona.

Wagonem wstrząsa okropny krzyk: Wody!! Powietrza!!!

Któryś znalazł w kieszeni od spodni maszynkę do golenia.

- Nie mogę dłużej! - woła i żyłką przecina sobie żyły na rękach.

B. już się udusił, choć dobry Zbyszek wydłubał dlań szparę do oddechu. I tego młodego i dzielnego chłopca los nie lepszy. Po godzinie osunął się nieżywy.

Po piątej pewnie było, gdy pociąg wyruszył z przedmieścia Koło w dalszą podróż. Przestałem się orientować, gdzie jesteśmy. Silny organizm i lokata w wagonie opóźniły proces zatrucia, lecz już czułem jak gdyby żelazna obręcz ścisnęła mi głowę. Ruch pociągu nie ratował sytuacji wewnątrz wagonu. Tragedie rozgrywały się w dalszym ciągu. W jednym tylko wypadku szalu syn ratował ojca od śmierci.

Chłód wieczorny obniżył temperaturę w wagonie, a jednak męka oddechu nie łagodniała, nie ustępowało zatrucie. Wagony niosły w przestrzeń krzyk rozpacz i prośby.

- Powietrza! Wody!

Wolni przechodnie stawali przy torze i patrzyli z lękiem na koszmarny pociąg. Na stacjach i przystankach dobrzy ludzie spieszyli z wodą, ale im dostępu do wagonów nie dano. Zewsząd sterczały lufy rozpylaczy, pociąg obsadzony był liczną wartą w kilku specjalnych wagonach.

Rozpacz silniejszych więźniów zrobiła w końcu swoje. Wspólnym wysiłkiem na jakiejś stacji wyrwano zasuwę tuż przy mojej ścianie. Byłem już prawie nieprzytomny. Wolałem kulę niż powolną mękę. Prosiłem o podsadzenie. Wepchnięto mnie w okienko. Przed wagonami tłum kobiet z kubałkami wody i chlebem. Esesmani je odpędzają.

Wychyliłem się i począłem krzyczeć:

- Dusimy się! Łotry, zbrodniarze, mordują nas bez powietrza i wody! Deutsche Hunde! Dobijcie nas!

Wśród tłumu podniósł się krzyk i płacz. Nie strzelił żaden, uderzenie w głowę, ktoś odważniejszy chlusnął mi na głowę kubek wody. Osunąłem się do wagonu. Przez okienko wleto jeszcze parę kubków. Z rozpalonych ciał i desek poczęła iść dusząca para.

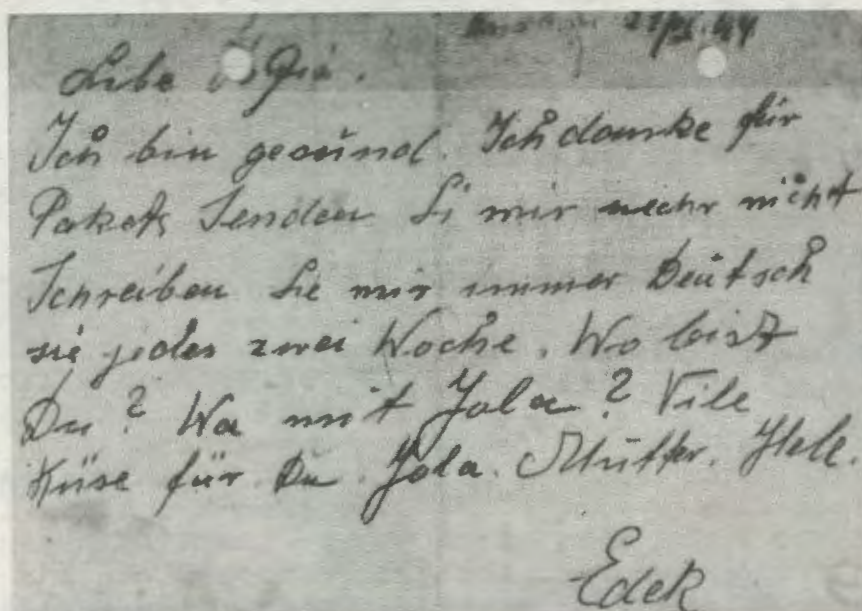
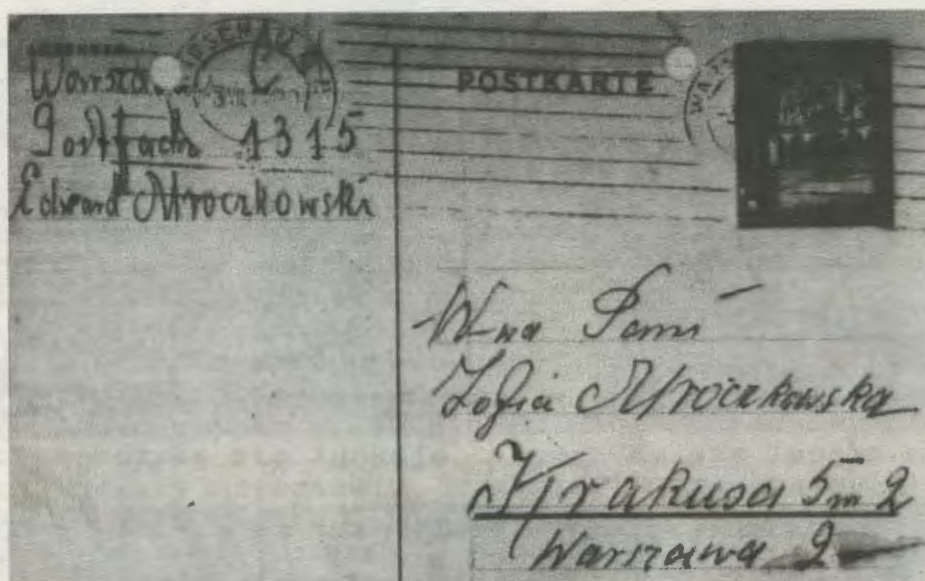
Nocny chłód powracał stopniowo przytomność. W Skierniewicach dopiero, po całej dobie męki, otwarto wagony. Na podłodze w cuchnącym kale i krwi leżały zwały sinych trupów, pokurczonych w strasznych ostatnich męczarniach, a na tych trupach leżeli ci, co jeszcze żyli, ci których silny organizm pozwolił przetrwać, a oddech wróciła przestrzeń podarowana przez zmarłych. Po szaro-zielonych lub pergaminowych twarzach ledwo żywych ludzi sączyła się z oczów - materia.

Z naszego wagonu wywleczono 43 uduszonych, z innych nie mniej, ogółem około 200 ofiar.

Nas powieziono do obozów na innego rodzaju męki, a ciała nie-szczęśnych naszych kolegów - oblano benzyną i spalono, lecz duchy ich żyją wśród nas, towarzyszy z wagonów śmierci i wołają o pomstę do Nieba.

Oto jedno z tysiąca, może jeszcze straszniejszych zbiorowych bestialstw niemieckich.

To opowiadanie Edwarda Mroczkowskiego zostało opublikowane przez Jerzego Szczepkowskiego w Tygodniku Warszawskim Nr 6 z dnia 16 grudnia 1945 roku.



List z Pawiaka pisany przez Edwarda Mroczkowskiego w dniu 21 czerwca 1944 roku, adresowany do siostry zamieszkałej w Warszawie.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.27



25. XII. 44

Meine liebe Mutter, Frau und Schwägerin!

Ich teile Euch mit, dass ich gesund bin
 was ich auch Euch sende. Ich danke für
 Eure lieben Pakete. Herzlichste grüsse
 für meine Kinder Jola.
 Ich sende Euch meine liebe glückliche
 Feiertage und Neujahr.
 Grüsse und Küsse
 sendet immer derselbe
 Jolka

Edward Mroczkowski w sylwestra 1944 roku wysłał list do
 siostry na adres w Pruszkowie. List ten dotarł do adresatki.
 Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.28.

EWAKUACJA

Fragment z książki "Nieletnim wstęp wzbroniony"
nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie
w 1980 r.

Kończył się lipiec 1944 roku, kiedy gestapo rozpoczęło pośpieszną ewakuację swoich urzędów z Warszawy. Wśród niemieckiej załogi Pawiaka zapanowało gorączkowe podniecenie. A więc już lada chwila, lada dzień musi stać się coś, musi nastąpić koniec Pawiaka, tylko co będzie to dla nas oznaczało. Mówią, że będą nas wywozili, na razie nie wiadomo jak i gdzie. Wojska radzieckie znajdowały się już bardzo blisko, słychać było coraz wyraźniej kano-nady artyleryjskie nadciągającego frontu.

Naprawdę przeprowadzono ewakuację magazynów i urządzeń warsztatów. Przestaliśmy chodzić do pracy, zlikwidowano dotychczas oddzielną grupę roboczą i przeniesiono nas na normalny Oddział III. Tym samym skończyła się funkcja, skończyły się lepsze warunki, jesteśmy jak wszyscy więźniowie, zamknięci w zwyczajnych celach, pozbawieni wszelkich kontaktów i przywilejów.

Wreszcie nastąpił długo wyczekiwany i nigdy niewiadomy finał. Na drugą noc przed świtem otworzyły się cele, w drzwiach stanęli wachmani i przystąpili do wiązania drutami za ręce po dwie osoby. Tej nocy, jak w wiele innych podobnych, nie spaliśmy do rana. Nikt nie miał pewności, czy Niemcy nie będą chcieli rozstrzelać nas w ruinach getta, po co nas powięzali tym drutem, budzi to groźne podejrzenia. Zawsze ta obawa nurtuje, po prostu nie wierzymy im, za dobrze ich znamy, byliśmy bowiem świadkami zbyt wielu podstępnych poczynąń. Wczesnym rankiem zostajemy sprowadzeni na podwórze przed kotłownię, stoimy w kolumnie w dalszym ciągu powięzani po dwóch, w drugiej wolnej ręce każdy trzyma spakowane swoje rzeczy. Z innych pięter spędzają dalsze grupy ludzi, które formują się w tyle za nami.

Wstaje dzień, robi się coraz jaśniej, gdy pada komenda marszu. Szybkim krokiem obchodzimy gmach dookoła i zatrzymujemy się tuż przed bramą więzienną. Teraz formują nas w czwórki. Co stanie się za chwilę, gdy zostaniemy wyprowadzeni za bramę? Jedno jest pewne - to koniec mojego dwuletniego pobytu na Pawiaku. Zawsze gnębiło mnie, jak i każdego z nas, pytanie, w jaki sposób opuścimy to okrutne, ponure więzienie, czy opuścimy je żywi, i oto nadeszła ta decydująca chwila. Otworzono ciężkie żelazne wrota i padł rozkaz: "Laufschritt marsch!" Oczom naszym ukazały się zrównane z ziemią grupy getta, zrujnowana ulica Dzielna. Dookoła uzbrojeni esesmani, na smyczach ujadające wilczury. Przed nami wąski ślad po dawnej ulicy. Kolumnę prowadzi otwarty mercedes, obok kierowcy w pozycji stojącej jedzie zugsführer. Po obu stronach szeregów w drobnych

odstępach, z automatami gotowymi w każdej chwili do strzału, biegną esesmani. Prowadzą nas w kierunku ruin więzienia wojskowego - ale w jakim celu, co to ma znaczyć? Wiedzieliśmy dokładnie, że to tam właśnie w ostatnich miesiącach odbywały się ustawiczne egzekucje i palenie zwłok rozstrzelanych.

Nasza grupa znajdowała się na czele kolumny. Złowrogie ruiny są coraz bliżej. Drewniana wielka brama byłego wojskowego więzienia stawała się coraz bardziej widoczna. Biegąc, szybko zbliżyliśmy się w jej kierunku. Co będzie teraz? Czy padnie komenda skrętu w lewo, w samotnie stojące ruiny tego gmachu, gdzie mordowano i palono skazańców z Pawiaka? Już widać przytwierdzoną do bramy białą tablicę z wyraźnym napisem wykonanym dużymi, czarnymi literami: "Achtung! Eintritt streng verboten!" Ale jadący na przodzie w odległości kilkuset metrów czarny mercedes nie zatrzymuje się, przejeżdża obok i jedzie dalej. Biegniemy za nim. Kolumna mimo gwałtownych ponaglań esesmanów wydłuża się i deformuje, starsi i słabsi, nie mogą nadążyć, dyszą ze zmęczenia, potykają się o kamienie i cegły. Ale dokąd nas prowadzą i jak długo jeszcze będziemy biegli skuci i obciążeni tobołkami? Wkrótce zabraknie już sił, a tu nie widać zupełnie celu naszego marszu wśród tego pustkowia.

Nagle między ruinami wyłoniła się nieoczekiwanie duża wyrównana wolna przestrzeń i na niej ułożone szyny kolejowe. Z boku na torach stał długi pociąg towarowy. Wszystkie wagony miały pootwierane drzwi na oścież. Na przodzie pociągu stał przyczepiony jeden wagon osobowy. Między zakrytymi wagonami bydłowymi znajdowały się otwarte platformy, na których ustawiono karabiny maszynowe skierowane na wszystkie strony: po kilka na boki, a po dwa w stronę wagonów, w których będziemy transportowani. A więc to tak gestapo zabezpieczało się przed ewentualnym odbiciem więźniów przez ruch oporu. Na chwilę przystanęliśmy i wkrótce mamy być załadowani do wagonów. Z trudem wdrapaliśmy się po wysokim progu do środka, brutalnie ponaglani. Tych, co nie potrafią wejść, esesmani biją kolbami i kopią. Wewnątrz wagonu robi się coraz ciasniej. Z przerażeniem stwierdzamy, że wszystkie otwory zostały szczelnie zabite, a na podłodze leży grupa warstwa rozsypanego cementu. Wszedłem jako jeden z pierwszych, dzięki temu miałem jeszcze możliwość wyboru miejsca. Ulokowałem się w samym rogu, koło mnie kilku współtowarzyszy z warsztatów. W równych odstępach czasu przybiegały następne kolumny więźniów z Pawiaka, którymi zapełniano pociąg. Załadunek przeciągał się do późnych godzin popołudniowych. Wagony były jeszcze cały czas otwarte, mieliśmy więc możliwość obserwacji. Do jednego wagonu dosłownie wpychano na siłę, według naszych obliczeń, ponad sto osób. Wszędzie wewnątrz robiło się tak ciasno, że ludzie stali stłoczeni jeden koło drugiego, nie było możliwości ani usiąść, ani nawet przykucnąć.

Upalny dzień lipcowy kończył się, zapadał mrok, kiedy załadowano ostatni wagon. Jak wytrzymamy w tej ciasnocie, gdy drzwi zostaną zamknięte? Jak długo mają zamiar nas więzić w tych nieludzkich warunkach? Okazało się, że wybrałem dobre miejsce, pomiędzy deskami w samym rogu znajdowała się mała szczelina, do której mogłem przytykać usta i oddychać świeżym powietrzem. Po chwili, gdy drzwi zatrzaśnięto, skorzystaliśmy z okazji, by ściągnąć druty z powiązanych, obolałych rąk. Na razie sprawiło to pewną ulgę. Pod wieczór pociąg ruszył, jechaliśmy wolno, nie wiedząc dokąd i

w jakim kierunku. Początkowo pociąg jechał raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby manewrując, na chwilę przystawał i znów ruszał. W końcu stanął zupełnie. Była już późna noc. Nikt nie miał pojęcia, na jak długo i dlaczego. Wydawało się, że trwa nalot. W górze wysoko nad nami słychać było wycie silników lotniczych. Gdzieś w pobliżu ciszę nocną przerywały strzały z broni maszynowej. Jeżeli puszcza serię po wagonach, nic już nas nie może uratować, bo tłok jest taki, że nie ma mowy, aby położyć się na podłodze.

Usiłujemy zrobić jakiś otwór, żeby móc chociaż cokolwiek zobaczyć. Ktoś miał scyzoryk i przy jego pomocy udaje się wydłubać szparę między deskami w bocznej ścianie wagonu. Wreszcie można będzie zorientować się dokąd nas wiozą. Znajdowaliśmy się jeszcze w Warszawie. Staliśmy przy wiadukcie nad ulicą Wolską. Minęła już chyba dawno północ, gdy pociąg z wolna ruszył. Zerkając przez szparę doszliśmy do wniosku, że opuszczamy Warszawę i jedziemy w kierunku Włochów i Pruszkowa. Nikt z nas nie wiedział, że za parę godzin miało wybuchnąć powstanie warszawskie.

Było już rano, gdy wśród miarowego stuku kół zwróciły uwagę jakieś podejrzane odgłosy. Z sąsiednich wagonów dochodziły dziwne, przeraźliwe krzyki. W niesamowitym napięciu i podnieceniu mijał czas. Gdy pociąg zwolnił i turkot kół stał się mniej hałaśliwy, przebiły się wyraźnie dudnienia gwałtownych uderzeń, jakby butami czy innymi twardymi przedmiotami o ściany wagonów, raz, drugi i trzeci, gdzieś z tyłu pociągu. Uderzenia co chwile powtarzały się, były coraz gwałtowniejsze i mieszały się z rozpaczliwymi krzykami o pomoc. Lokomotywa zaczęła zwalniać i pociąg stanął. Ktoś z zewnątrz otworzył drzwi i zaglądnął do środka, na moment buchnęło świeże powietrze. Okazało się, że w wagonach duszą się ludzie z ciasnoty, braku powietrza i dostają krwotoków płucnych. Słychać było otwieranie drzwi dalszych wagonów i jakiś ruch na zewnątrz. Podobno opróżniono ostatni wagon i poukładano tam ciała martwych, poduszonych ludzi.

Po dłuższej przerwie pociąg ruszył dalej, ale nie zdążył się jeszcze dobrze rozpedzić, kiedy znowu zwolnił. Przez szparę widać było zabudowania dworcowe. Wjeżdżaliśmy na jakąś stację, przypadkowo udało się zauważyć tablicę z napisem - Żyrardów. Zatrzymaliśmy się na peronie, nasz wagon stał prawie naprzeciw budynku dworcowego. Przez otwór, tymczasem jeszcze bardziej poszerzony, ujrzeliśmy poustawiane kotły, z których dymiała gorąca zupa, oraz kosze z żywnością, a obok grupki kobiet, czekające z doraźną pomocą. Zabroniono jednak komukolwiek dochodzić do wagonów. Pomimo to ludzie dyżurujący na peronie byli uparci i zdeterminowani - esesmani nie mogli opanować sytuacji - przedarli się z narażeniem życia na peron i podbiegali do pociągu. Ktoś z zewnątrz otworzył klapę okienną, od razu zrobiło się jaśniej i znowu struga świeżego powietrza wdarła się do środka. Zaskoczeni wachmani biegali wzdłuż wagonów, strzelali w górę, chcąc odstraszyć napierających. Jakimś cudem do wagonu wpadło kilka bochenków chleba, zawiniątko z żywnością i trochę jabłek. Słychać płacz kobiet, krzyki, protesty ludzi. Padają rozpaczliwe pytania: "Dokąd ich wieziecie? Co z nimi robicie?" Wszystko to jeszcze bardziej nas przygnębiło. Wśród zgiełku, krzyków i ogólnego zamieszania pociąg ruszył dalej. Po kilkudziesięciu minutach jazdy znów się zatrzymujemy na stacji kolejowej. Sytuacja powtórzyła się prawie identycznie. Ludzie na peronach,

doskonale zorganizowana pomoc, żywność, okrzyki esesmanów. Było trochę pocieszające, że ludzie z wolności śledzą każdy ruch naszego transportu i że nie udało się Niemcom wywieźć nas niepostrzeżenie. Tajne organizacje pilnie strzegły naszego losu.

Zapadał zmierzch, pociąg włókł się powoli dalej. Dominowała atmosfera bezustannego podniecenia i wyczekiwania. Stale nurtowały podejrzenia, czy żywi wyjdziemy z tego transportu. Jeden z więźniów, krawiec z "małych warsztatów", nie wytrzymując presji psychicznej, wolał zadać sobie śmierć, aniżeli wyczekać na nią; powiesił się, nikt nawet nie wiedział kiedy. Jechaliśmy już dobre parę godzin, gdy pociąg ponownie zatrzymał się, ale tym razem już nie przy peronach, ale gdzieś na bocznym torze. Świtało. Staliśmy w szczerym polu, ogrodzonym drutem kolczastym. Parę torów dalej stał pociąg towarowy, pusty, z pootwieranymi drzwiami. Widzieliśmy, jak po drugiej stronie przebiegali porozbierani ludzie. Wszyscy snuli jak najgorsze domysły. Po raz pierwszy staliśmy dłużej, każdy wyczekiwał, czy i kiedy zaczną nas wyprowadzać z wagonów. Ale wreszcie szarpnęła lokomotywa i pociąg znowu ruszył dalej. Odetchnęliśmy z ulgą. Mówiono potem, że na postoju odczepiono ostatni wagon, w którym złożone były ciała poduszonych.

Dzień. Dojeżdżamy do Łodzi. Jesteśmy już na terenie Rzeszy Niemieckiej. Niemiecka eskorta nie podejmuje już tylu środków ostrożności i pootwierano wszystkie klapy zasłaniające dotychczas otwory okienne. Nareszcie widać wyraźnie, gdzie jesteśmy, co się dzieje na zewnątrz, i jest w końcu czym oddychać. Na stacjach, które przejeżdżaliśmy, wyczekiwało wiele transportów z wojskiem. Na którymś z postojów zatrzymaliśmy się obok oczekującego na sąsiednim torze pociągu z rannymi żołnierzami powracającymi z frontu. Nasz dziwny transport zwrócił natychmiast ich uwagę. Dochodzą nas urywki rozmów niemieckich żołnierzy, oczywiście najczęściej powtarzano słowo "banditen" kierowane pod naszym adresem. Ale ranni żołnierze, zaintrygowani tym dziwnym pociągiem, sami rozpoczęli nawiązywać rozmowy. Nasze wyjaśnienia niejednych przekonały i zaskoczyły. Dziwili się, nie wierzyli, oburzali, przeklinali esesmanów.

Przez cały czas tej koszarnej, ciągnącej się w nieskończoność podróży jak na złość panowała przepiękna letnia pogoda, upał i skwar. To jeszcze w większym stopniu powodowało, że w zatłoczonym wagonie bez możliwości jakiegokolwiek ruchu pobyt stawał się nie do zniesienia. Nade wszystko chciało się pić i tylko pić, nie odczuwaliśmy specjalnie głodu, ale uczucie pragnienia doprowadzało niektórych do szaleństwa. Po dwóch dniach pociąg zatrzymał się między stacjami w szczerym polu, na kilkunastominutowy postój. Niemcy otworzyli wagony, otoczyli pociąg i pozwolili wreszcie wyjść na zewnątrz załatwić osobiste potrzeby. Z jaką radością wyskoczyłem natychmiast z wagonu. Pierwszy raz od paru lat byłem poza murami wśród łąk i pól. Zieleń, trawa, słońce – cieszyłem się, że mogę to jeszcze widzieć. Ale wkrótce pada komenda powrotu do wagonów i znowu jedziemy dalej, i znowu koszar ciasnoty i bezruchu. Nie wiadomo zupełnie, dokąd zdążamy. Brak wody do picia i potworne pragnienie, wzmagane upałem panującym w wagonie, stawały się coraz większą dolegliwością. Gdy raz na jakiś czas zdarzała się przypadkowo okazja zdobycia wody, ci którzy się do niej dorwali, pili zupełnie bez opamiętania, siłą, lecz bezskutecznie wyrivano im menażki z rąk. Nic nie pomagały wzajemne ostrzeżenia, że więk-

sza ilość wypitej wody surowej na pusty żołądek w tych warunkach może mieć katastrofalne skutki. Nie było przecież wiadomo, czy woda z przypadkowych stacyjnych studni nadawała się w ogóle do picia, a poza tym fatalne warunki sanitarne, wyczerpanie fizyczne i pusty, wygłodniały żołądek mogły wywołać durchfall lub upamięć czerwoni. Wielu jednak nie potrafiło zachować umiaru. Nie mogłem pojąć, jak ci ludzie nie cenią własnego życia i z pełną świadomością tragicznych skutków, za tak wielką cenę zaspokajają na krótką tylko chwilę swoją żądzę. Niestety po przybyciu do obozu okazało się, że przestrogi nie były gołosłowne – pierwsze ofiary to właśnie wynik dolegliwości przewodu pokarmowego, powstałych podczas transportu.

I tak mijały dni i noce, aż wreszcie po pięciodniowej podróży dobrnęliśmy do celu. Słońce zaszło i robiło się już szaro, gdy pociąg zatrzymał się na stacji przeznaczenia.

Na peronie stał tłum esesmanów ze sforą wściekle ujadających psów. Na małym budynku dworcowym wisiał podłużny napis wykonany gotyckimi literami: Gross-Rosen. Z hukiem i łoskotem otwierały się drzwi wagonów i ponaglani okrzykami wybiegliśmy na peron. Ustawieni w kolumnach w zwartym szeregu, wzdłuż pociągu, zostaliśmy parokrotnie dokładnie przeliczeni. Dokoła uwijali się esesmani tłukąc kolbami każdego, kto się nawinął poza szeregiem. Gdy kolumna została uformowana, padł rozkaz, aby uchwycić się w szeregu nawzajem pod ramiona. Tak uformowani ruszyliśmy wąską polną drogą w zapadający mrok. Z obu stron kroczył gęsty kordon wypasionych i wypoczętych esesmanów z dyszącymi psami, biegnącymi tuż obok na smyczach.

Po półgodzinnym forsownym marszu dotarliśmy do zabudowań obozu w Gross-Rosen. Z mroku nocy w oddali wyłaniała się jaskrawo oświetlona brama obozowa. Wyglądała groźnie i monumentalnie. Zbudowana z poobciosywanych bloków skalnych, wyeksponowana światłem reflektorów, robiła prawdziwie złowrogie wrażenie. Środkową część stanowiła dwuskrzydłowa potężna krata żelazna, do jej stron przylegały dwa mniejsze wejścia, zamykane na pojedyncze kraty. Nad częścią środkową wznosiła się wartownia. Gdy przekroczyliśmy wrota bramy, kolumna skręciła zaraz na prawo i wtedy oczom naszym ukazał się jasno oświetlony olbrzymi plac apelowy. Wybiegliśmy na jego środek w tym samym zwartym szeregu, w jakim sformowano nas na dworcu. Liczni funkcjonariusze obozowi rozdzielali przybyłych na poszczególne kolumny i kierowali przed stoły ustawione na placu.

Nastąpiło przewlekłe sprawdzanie personaliów i przydzielanie numerów obozowych. Od tego momentu przestało istnieć imię, nazwisko i wszelkie dane personalne. Wszystko to zastąpił numer. Moim znakiem stała się liczba 12047. Jak się później dowiedzieliśmy, numery nasze były zdublowane, a uprzednio należały do wymordowanych w Gross-Rosen jeńców, oficerów radzieckich. Stąd też tak niskie cyfry. Z wież strażniczych lufy karabinów maszynowych, wymierzone wprost w zgromadzony na placu tłum, przypominały o bezwzględnych prawach, jakie rządzą za tymi drutami. Każde miejsce placu przerażliwie rozświetlały jakieś dziwne reflektory umieszczone na wieżach. Krzyki esesmanów, bicia, ujadania psów potęgowały złowieszczy nastrój. Bez mała tydzień trwająca jazda w zamkniętych, dusznych wagonach, w pozycji nieomal stojącej, bez ruchu i prawie bez jedzenia, potem parokilometrowy marsz półbiegiem, a teraz długo-trwałe oczekiwanie – sprawiły, że i nasze zapasy sił miały się nieestety ku końcowi. Chwila normalnego snu wydawała się marzeniem.

Mimo lata noc była chłodna i stojąc już dłuższy czas nierucho-

mo, czuliśmy przeraźliwe zimno. Tymczasem przeliczano, sprawdzano, rozdzielano więźniów na grupy. W końcu po wielogodzinnym załatwianiu formalności zaświtała nadzieja, że może będziemy mogli nareszcie położyć się i trochę przespać, ale niestety jeszcze nie, na razie łaźnia, a następnie Bekleidungsmagazin. Biegając przez środek baraku, musieliśmy łapać rzucone poszczególne części ubrania; kto nie chwycił w porę i komu cokolwiek upadło na podłogę, dostawał natychmiast za swoje. Dopiero tuż przed świtem zapędzono nas do nieukończono jeszcze i nie wyposażonego baraku. Skonani i półprzytomni z przemęczenia i nowych wrażeń, położyliśmy się na podłodze w ogromnej ciasnocie, jeden przy drugim. Wreszcie po wielu dniach można było położyć się i wyciągnąć. Ale nie zdążyliśmy jeszcze porządnie zasnąć, kiedy okrzykiem: "Aufstehen" poderwano nas na równe nogi. Na dworze zaczęło robić się jasno.



Dzieniniec Pawiaka stan obecny. Obelisk w kształcie maczugi upamiętnia cierpienia więźniów. Warta honorowa Wojska Polskiego oczekuje na delegację Klubu Gross-Rosen, która za chwilę złoży wieniec w 25 rocznicę wysłania ostatniego transportu.

Nr archiwum Gross-Rosen 2.4.10.4

TRANSPORT ŚMIERCI

Pewnego wieczoru, kiedy układaliśmy się do snu usłyszeliśmy jakieś przytłumione huki. Co to mogło być?

Po paru godzinach przytłumione dudnienie zmieniło się w artyleryjską kanonadę. Tam gdzieś za Wisłą - pomyśleliśmy.

No, chłopaki - powiedział rano oddziałowy Anlen - Ruscy zajęli Międzyrzecz, Siedlcę, Kołbiel. Jak lawina idą na Warszawę. W sercach pojawiła się odrobina nadziei. Kołbiel leży zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Stolicy. Ci z Kołbieni śmieli się z radości i płakali na przemian. Ich miejscowość była wolna. Podzielaliśmy ich radość. Myśleliśmy.

- Może za kilka dni i my będziemy wolni?

Zapanowała bezwładna gadanina. Rosłaniec obliczał już, kiedy mogą być u nas, gdy jakiś trzeźwy głos przypomniał nam, że tak łatwo nam to nie pójdzie, jesteśmy przecież w mordowni XX wieku, w rękach ludzi, dla których nasze życie jest warte kilka gramów ołowiu.

Wkrótce nadeszła wiadomość, że całe więzienie będzie ewakuowane. A więc znów nic z tego? To już chyba trzeci raz traciłem nadzieję, że wyjdziemy wolni. Widocznie tak już musi być, abym przeszedł przez to piekło do końca. W nocy Niemcy popędzili nas z cel do łaźni, ubrania zabrali do parowania. W łaźni ścisk, gorąco, popychanie. Było nas tylu, że wydawało się, iż podusiemy się lada moment. Do cel wróciliśmy poparzeni, gdyż w tym bałaganie zapomniano uregulować należycie temperaturę wody. Założyliśmy wilgotne ubrania i zabraliśmy się za pakowanie dobytku, czekając rozkazu. Ciszę przerwywały tylko pomruki radzieckiej artylerii.

Myśleliśmy o ludziach, którzy witają oswobodzicieli, obrzucając ich zapewne kwiatami, wyobrażaliśmy sobie, że z lasów dołączają do nich nasi brodaci partyzanci i idą razem bić wroga.

Minęła noc. Rano wypędzono nas na korytarz i ustawiono rzędem pod ścianami. Zarządzono "przeгляд lekarski". Był oczywiście parodią badania - sprawdzono tylko czy mamy całe ręce i czy dość zwawo się poruszamy. Ołosiów i tego, któremu powyrywano paznokcie wyprowadzono gdzieś, uznając ich za niezdolnych do transportu.

Po tych "ogłędzinach" oprawcy popędzili nas na górę. Tu związano nam ręce drutem i wypędzili na dziedziniec. W grupach po 100 ludzi, otoczonych przez esesmanów z ujadającymi wilczurami, wyszliśmy za bramę Pawiaka. Było bardzo gorąco. Powietrze odurzyło nas jak wino. Niektórzy zatoczyli się. Eskortujący nas kaci z palcem na cynglu czekali tylko na to, aby który potknął się. Wtedy krótka seria i koniec.

Obejrzałem się za siebie /szedłem na samym ostatku grupy/. Mury Pawiaka zalewał oślepiający blask słońca. Długi korowód ludzi wypełzł z bramy jak wąż. Ilu nas mogło być? Tysiąc, dwa, trzy? Obok mnie w szeregu szedł ten z Ożarowa. Pobity ledwo po-

ciągał nogami. Udało mu się zmylić uwagę prześwietnej komisji lekarskiej i stanąć w grupie ludzi przeznaczonych do formowanego transportu. "Wiesz Tolek - powiedział trzymając się mnie kurczowo - jestem szczęśliwy, że wydostałem się z tego piekła; wolę już niepewno jutro w obozie, niż katowanie na Pawiaku".

Na bocznicy przy ul. Stawki czekał na nas rząd wagonów towarowych. Wśród przekleństw, bicia kolbami wypędzono nas do środka i zaryglowano drzwi. W górę wznosił się obłok pyłu. Opadając osiadał na nasze spocone twarze. Był to pył cementowy /w wagonach przewożono bowiem cement/. Cały wagon /140 ludzi/ kaszlał i przecierał oczy. Było straszliwie duszno. Łapczywie łapaliśmy powietrze przez jedyne okienko zakratowane zresztą kolczastym drutem. W naszym wagonie było dwóch jeńców radzieckich - jeden z nich to Kirkiz. Był też Zdunkiewicz, Hoppe, Hipek, Piotrek Wojtczak i Zalewski i ten z Ożarowa.

Ci, dla których znalazło się miejsce, usiedli na podłodze, podkurczywszy nogi pod brodę. Połowa ludzi stała. Co będzie w nocy? - myśleliśmy z lękiem. Gdzie ta masa ludzi znajdzie miejsce, by usadowić strudzone ciało. Po paru godzinach ruszyliśmy wreszcie.

Przez zakratowane okienko widziałem pociągi, które nas miały pełne żołnierzy i sprzętu, twarze żołnierzy wyrażają nienawiść i pogardę. Chciało nam się straszliwie pić, nie mieliśmy czym oddychać, powietrze stało się lepkie i ciężkie. Właśnie przechodzący obok wagonów chlustał kubłem wody w okno. Parę kropeł wpadło do wagonu. Wyrwał się głuchy jęk zawodu i rozpacz. Chcieliśmy morza wody. Zialiśmy jak psy z wywieszonymi językami. Płuca spazmatycznie łapały powietrze.

Cały pociąg rozbrzmiewał histerycznym krzykiem. Wody - wody - duszę się! Zabijcie mnie! Nie wytrzymam. Ci, którzy stali bliżej okienka widzieli kobiety pędzące do naszego pociągu z wiadrami wody i mleka. Chciały ulżyć naszemu cierpieniu, lecz strzały esesmanów rozpędziły je na cztery strony, porzuciwszy wiadra i bańki. Rozlana woda szybko wsiąkała w rozpaloną ziemię. Co będzie dalej? W pewnym momencie ktoś krzyknął, że jesteśmy na Dworcu Gdańskim. Równocześnie rozległy się strzały, a zaraz po tym rumor odsuwanych drzwi i jakaś komenda rzucona po niemiecku. Zobaczyliśmy jak dwóch więźniów pod eskortą wlekło ciało trzeciego. Jego udręczona głowa raz po raz podskakiwała uderzając o podkłady kolejowe. Pomyśleliśmy: to pierwsza ofiara transportu. Widocznie nie wytrzymał i chciał uciec, lecz esesmańskie bestie czuwały.

Wreszcie nasz pociąg - ruszył, szarpiąc w tył to w przód. Staliśmy stłoczeni, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu. I tak całą noc. Noc, którą pamięta się przez całe życie. Ciemno, duszno, zaduch. Ludzie jęczą, depczą jeden po drugim, słysząc błagalne: - wody, wody! Słysząc przeraźliwe krzyki więźniarek z Serbii /było też około 300 kobiet w tym transporcie/. Czułem, że szaleję. Nadludzkim wysiłkiem wyrwałem z rykiem gdzieś do przodu, rozrywając koszulę na piersiach. Żył mi na szyi nabrzmiały jak postronki. Zacząłem szarpać się i kopać nogami. Przestrzeni, powietrza, wody! Dostałem w łeb. Straciłem przytomność i zwałem się pod tratujące nogi. Maligna - widzę dom rodzinny i ludzi i piję wodę. Otwieram nabrzmiące oczy i słyszę szept ojca, "pij - pij synu". Łapczywie pociągam z butelki ciep-

łą wodę, która wydaje mi się nektarem. Leżę przy ścianie wagonu i łapię powietrze przez szpary.

Świt zastaje nas w Gołębkach. Oglądamy się w szarym blasku poranka. Twarze opuchnięte, sine, odzież w strzępach, przez które prześwituje podrapane ciało. Przez okna widzę jak z sąsiednich wagonów wyrzucają ciała poduszonych tej nocy kolegów. Ciała czarne, opuchnięte. Naliczyłem 46 ofiar, ale na pewno było ich dużo więcej.

Pociąg ruszył. Przejechaliśmy Piastów. Koledzy dali mi ołówek i kawałek papieru. Skreśliłem szybko kilka słów pożegnania do rodziny. Kartkę przywiązałem do szczoneczki do zębów i w Brwinowie na przejeździe kolejowym, wyciągając ręce przez okienko wyrzucam ją, krzyczę - tu jadą Wojnarowicze! Dajcie znać do domu! Jakiś człowiek podnosi kartki i już nic nie widzę przez łyzy. Ojciec i Zdunkiewicz też płaczą.

Zbliżamy się do Żyrardowa, stajemy akurat na stacji. Tutaj gestapowcy i esesman pozwolili mieszkańcom Żyrardowa podać nam chleb i wodę. Jak z rogu obfitości posypała się na nasz transport lawina darów. Podawano nam jeszcze ciepły chleb, papierosy, mleko a nawet do jednego wagonu butelkę "Cherry-Brandy".

A potem znów zamknęły się drzwi i ruszyliśmy dalej. Zaraz za Żyrardowem w polu wypuszczono nas na chwilę z wagonów. Po paru minutach ruszyliśmy dalej w drogę. Następny przystanek wypadł w Skierniewicach. Na drugim torze stał transport rannych lotników niemieckich. Kiedy dowiedzieli się, że w wagonach po przeciwnej stronie jadą "bandyci" z Warszawy, chcieli rzucić się na nas. Słyszał było jak targują się z eskortującymi nas esesmanami. Krzyczeli, by nas rozstrzelano.

Na szczęście komendant transportu powstrzymał ich od napaści mówiąc, że osobiście odpowiada za nas i musi nas dostarczyć tam, gdzie trzeba. Groźba śmierci na razie została odsunięta.

W chwilę później kazano nam wynosić z wagonów wszystkich poduszonych i składać w wagonie stojącym na bocznicu. Z każdego wagonu wynieśliśmy po kilku nieżywych kolegów. Kilkunastu udając zaduszonych prosili, by wynieść ich na wspólny stos do wagonu. Liczyli, że gdy pociąg odjedzie uda im się jakoś umknąć. Biedni, przegrali swą stawkę. Gdy wagon na bocznicu zapełnił się ciałami, a było ich ok. 200, ruszyliśmy dalej w nieznane. Na bocznicu pozostał samotny wagon poduszonych, wśród których gramolili się żywi.

I nagle na rozkaz gestapowców, 4 Banhschutzów /straż kolejowa/ oblało ten wagon ze wszystkich stron benzyną i podpalamo. Po- przez dym i płomienie skwierczących ciał wzbily się w ciszę nie- ludzkie krzyki, ludzi palonych żywcem, pochodni Nerona XX wieku.

Nadeszła druga noc, noc obłędu i trwogi.

Jeden z jeńców radzieckich najadł się gorącego chleba i z braku wody dostał ataku. Nie wiedząc, co robi złapał but i skowycząc nieludzko walił nim po głowach na prawo i lewo. Jedni ogłuszeni zwalili się na podłogę, inni złorzeczą, wzywają pomocy. W ciemności z trudem udało się obezwładnić szaleńca. Związano go ręcznikami. Szamotał się jeszcze parę minut i nareszcie umilkł. Za chwilę usłyszeliśmy uroczysty śpiew. Boże, czyżby drugi szaleniec? Co będzie dalej? Włosy stanęły mi dęba, a strach zdusił gardło. Usłyszałem uderzenie, a potem płacz mężczyzny.

W innych wagonach to samo, ludzi ogarniał szal z pragnienia i rozpacz. I tak wśród ciemności nocy i nieludzkich jęków pę-

dził pociąg - widmo, pociąg szaleńców. Męczyliśmy się do rana. W Łowiczu wypuszczono nas do pompy parowozowej. Z wagonów wypeł-
zły ludzkie cienie, które potykając się ruszyły do wody. Piliś-
my łapczywie, na zapas. Nabrałem wody w dłonie i chlusnąłem na
twarz. Przy pompie spotkałem kolegów z celi. Opowiedzieli mi,
że ci z Kołbieli prawie wszyscy zginęli. Udusili się z braku
powietrza.

Nadszedł trzeci dzień nieludzkiej męki. Od ciągłego stania
popuchły nam nogi. W wagonie zaduch, że wprost dusiliśmy się.
Twarze mieliśmy szare jak ziemia, w oczach rozpacz i mękę. Gdzieś
w kącie od pewnego czasu słychać było jakiś chrobot. To dwaj
więźniowie Wacław Benesz i Czesław Toruń, podobno skoczkowie
zrzućeni na nasze ziemie, próbowali ucieczki, usiłując podważyć
deski w podłodze wagonu. Jedni pomagali im w tym, drudzy prze-
szkadzali. Rozgorzała walka na pięści. Walka ludzi, którzy chcie-
li uciec od niechybnej śmierci, a przeszkadzała im w tym grupa
bardziej tchórzliwych, którzy bali się represji esesmanów. Wśród
razów i nieludzkich krzyków do ucieczki nie doszło. Nadeszła
trzecia noc grozy. Tej nocy mój ojciec dostał lekkiego obłądu.
W pewnej chwili powiedział do mnie: Tolek pakuj nasze łachy, za-
raz wysiadamy i wracamy do domu. Zaraz w Łowiczu otworzą się
drzwi i zawoła nas Staszek Wojnarowicz /mój brat stryjeczny/,
który był wtedy zawiadowcą stacji Łowicz Główny. Wsiądziemy w
samochód i pojedziemy do domu, tam się przebierzemy i napijemy
się zimnej wody. Słowo "wody" zaakcentował jakoś dziwnie. Zroz-
paczony zwróciłem się do kolegów z prośbą o pomoc. Ale byli zajęci
własnym losem. Ojciec tymczasem rozepchnął towarzyszy niedoli,
usiłując dostać się do drzwi. Właśnie wtedy dopadł mnie Hipek
Hoppe. Kiedy zrozumiał, co się dzieje, pomógł mi usadowić ojca
siłą na podłodze. Chwilę szamotał się jeszcze a potem zapadł w
omdlenie. Obaj z Hipkiem wachlowaliśmy mu twarz, chcąc wywołać
świeże powietrze. Raz po raz ktoś błagał jeszcze o wodę, szamo-
tał się z kimś w ciemności.

W nocy minęliśmy chyba Kalisz. Na stacji staliśmy ze 2 go-
dziny. Słychać było jakby odczepienie wagonu. Zdawało nam się,
że odczepili wagon z kobietami. Towarzyszył temu nieludzki
wrzask. Potem dokonaliśmy bardzo przykrego odkrycia. W naszym
wagonie było trzech zaduszonych, leżeli wśród splątanych nóg i
rąk. Wyglądali strasznie. Ich ciała i twarze były jedną strasz-
ną maską, gdyż w ciemnościach deptano po nich. Ot, kukła ludz-
ka.

Zaczęliśmy nawoływać konwojujących nas esesmanów, którzy
siedzieli w brekach. Odpowiedzią był śmiech. Ułożyliśmy wtedy
naszych współtowarzyszy niedoli w rogu wagonu. Czułem, że z każ-
dą chwilą tracę siły. Leżałem wśród płataniny nóg.

Mój ojciec siedział przy mnie z głową apatycznie zwieszoną
na kolanach, bierny i obojętny na popychanie.

Jechaliśmy teraz przez górzysty teren. Przez szpary desek
wagonu migały nam miasta. Przeważał styl gotycki. Znów minęła
koszmarna noc. Zaduch w wagonie przechodził granice wytrzymało-
ści. Jak tak dalej pójdzie - myślałem - zadusimy się wszyscy.
Przed chwilą znów ktoś skonał w konwulsjach. Kiedy zaczęło się
znów zmierzchać, pociąg zwolnił i wreszcie stanął. Otworzyły
się drzwi naszego więzienia na kołach. Wsiadaliśmy wśród krzy-
ków i razów esesmanów, potykając się i padając raz po raz na

ziemię gdyż świeże powietrze uderzyło w nas obuchem. Łapaliśmy je nienasyceń i chciwi, aż do utraty tchu. Po chwili esesnami z psami sformowali kolumnę i popędzili nas przez stację. Na czerwonym murze budynku stacyjnego odczytaliśmy gotycki napis: "Gross-Rosen".

Szliśmy prawie biegiem, trzymając się po 6 pod rękę. Za nami zostali w opuszczonych wagonach nasi koledzy, krwawe zniwo panów w mundurach SS.

Szliśmy teraz krętymi i malowniczymi uliczkami miasteczka. Po obu stronach stali jego mieszkańcy z kijami w ręku. Wśród okrzyków "R a u s", mit polnischen Banditen! posypały się razy na maszerujące szeregi.

Droga prowadziła pod górę. "Przyjemne" miasteczko zostało za nami. W dali migotał rząd świateł.

Mijały nas samochody jadące na stację po "towar" - naszych kolegów. Wreszcie doszliśmy do jakiegoś szlabanu, który uniósł się w górę. Minęliśmy rząd baraków. Wysypali się z nich SS-mani. Teraz dopiero zobaczyliśmy, że światła, które migotały przed nami po drodze - to brama od której biegnie rząd oświetlonych drutów kolczastych. Minęliśmy ją i weszliśmy na oświetlony, rozległy plac. Zdała widać było zarysy komina, z którego buchał płomień i cuchnący dym. A więc obóz koncentracyjny. Co też będzie? W ciemnościach rozpoznaliśmy baraki. Otoczyli nas ludzie w ubraniach w białe i niebieskie pasy. Na piersiach mieli kolorowe trójkąty.

Równocześnie powróciły ze stacji pierwsze samochody. Przywiozły naszych kolegów z transportu. Pierwszy "rzut" do krematorium. Pierwszy kontyngent z Ostatniego Transportu z Pawiaka.



Gdy wyczerpani więźniowie Pawiaka dotarli do obozu, czekał na nich dalszy los za drutami okrutnego Gross-Rosen. Na zdjęciu fragment ogrodzenia obozowego pod prądem.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.4.10.3.

P R O T O K O Ł

Dnia 14 września 1945 r. o godz. 9,50 Sąd Grodzki w Skierniewicach w osobie sędziego-kierownika tegoż Sądu Kowalskiego Jana przy udziale protokulanta st.rej. Sądu Brodzkiego Piota na wniosek Polskiego Czerwonego Krzyża Oddział w Skierniewicach jako biegłego i jego pomocnika sanitariusza powiatowego Ant.Górskiego Józefa, inżyniera, Przewodniczącego Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża w Skierniewicach Rzewskiego R., przedstawiciela Zarządu m.Skierniewic, Rudolfa J. przedstawiciela Urzędu Informacji i Propagandy w Skierniewicach oraz Strzeleckiego plut. MO w Skierniewicach, oraz Pieniaka p.o. kierownika referatu śledczego przy komisariacie MO w Skierniewicach, przybył na tor kolejowy lewy wyciągowy, Odcinka Drogowego st.kol. Skierniewice na 67 km, w celu dokonania ekshumacji ofiar bestialstwa niemieckiego, pomordowanych przez Niemców i spalonych na torach stacji Skierniewice w wagonie pociągu towarowego, przybyłego z Warszawy dnia 31 lipca 1944r.

Na miejscu oględzin do Sądu zgłosił się i wylegitymował Ob. Ostrowski Antoni zam. w Kołbieli pow. Mińsk Mazowiecki który okazał na piśmie poświadczonym przez Zarząd Gminy Kołbiel, oświadczenie z dnia 15 sierpnia 1945 r. złożone przez Tadeusza Dreckiego, nauczyciela z Kołbieli w obecności wójta Gminy Kołbiel Zdunczyka G. zaopatrzone pieczęcią tejże gminy, stwierdzające, że Ob. Ostrowski Jan ur. 2.09.1913 w Linowie pow. prużański, syn Antoniego i Zofii Maciejewskiej, oraz Ostrowski Stanisław ur. 23.11.1916r. w Laskach, syn Antoniego i Zofii Maciejewskiej dnia 8 lipca 1944 roku zostali zabrani z domów przez Gestapo i wywiezieni do Warszawy do więzienia na tzw. "Pawiak", że w czasie transportu do obozu koncentracyjnego w Niemczech dnia 30 lipca 1944 r. zmarli w wagonach kolejowych tego transportu na skutek uduszenia z braku powietrza w wagonie i braku wody. Śmierć ich nastąpiła na stacji kol. Warszawa-Zachodnia. Następnie ich zwłoki wraz z dwustukilkudziesięcioma innymi zostały przewiezione do stacji kol. Skierniewice, tam oblane benzyną przez straż kolejową tzw. "Bahnschutz" i dnia 31 lipca 1944 r. spalone. Dalej Sąd ustalił: tuż przy torze kolejowym wyciągowym, w kierunku północnym od tegoż toru, znajduje się miejsce gdzie pogrzebano ofiary mordu. Sąd postanowił dokonanie zdjęć fotograficznych. Robotnicy folksdeutsche przystąpili do odkopywania ofiar. W czasie odkopania okazało się że w dole o długości 7 metrów, szerokości 3,5 metra są poskładane bezładnie jedne na drugich w paru warstwach zniekształcone i popalone zwłoki ofiar bestialstwa niemieckiego. Zwłoki są w takim stanie zniszczone, że ani płci, ani wieku jak oświadczył biegły lekarz ustalić nie można. Z wydobytych zwłok zaledwie jedne zwłoki są ze wszystkimi kończynami. Górna część ciała obnażona, wykazuje tylko nieznaczne opalenia, a jednak na tych zwłokach twarz jest zupełnie zniekształcona. Pozostałe zwłoki wydobyte znajdują się w stanie wielkiego zniszczenia, a mianowicie: bądź to kadłub z czaszką bez odnóży, bądź oddzielone kończyny górne, dolne. Jest także pewna ilość czaszek mniej lub więcej zniszczonych. Oprócz tego z dołu wydobyto dość znaczną ilość kości i ciała. Ponadto wydobyto z tegoż dołu dużo przepalonych części ubrania, bielizny,

koców i małych poduszek z pierzem. Wydobyto też również pewną ilość przedmiotów znajdujących się przy zwłokach bądź w kieszeniach ich garderoby, bądź w plecakach, tłumoczkach, jak pastę do zębów, szczoteczki do zębów, szczotki do czyszczenia obuwia, mydło, dwie mydelniczki, szczotki do rąk, zapalniczkę, książeczkę do nabożeństwa, wizerunek Matki Boskiej, blaszane i drewniane garnuszki emaliowane, butelki, grzebień, lusterko, koszule nocne i dzienne, ręczniki, chusteczki do nosa, swetry, skarpetki. Niektóre z koszul, ręczników i chusteczek są oznaczone cyframi i literami, monogramami, na dwóch zwłokach zawieszono były medaliki święte. Na jednym na sznurku na drugim na łańcuszku. Jedne zwłoki miały w stanie zupełnego zniszczenia kurtkę granatową z guzikami metalowymi, na których można było z łatwością odcyfrować "Osthban", na drugim podobna kurtka w kolorze trudnym do rozpoznania również z guzikami metalowymi i znaczkami pocztowymi, bez napisu.

W kieszeni jednych zwłok, znaleziono kawałek papieru liniowego liniami wodnymi z napisem uczynionym atramentem. Nadawca Jarzębowski Ryszard, dalej na tej kartce ul. Emilii Plater, w kieszeni drugich zwłok znaleziono kartkę drukowaną w języku niemieckim. Druk na tej kartce pochodzący z książeczki wypisany jest drukiem maszyny biurowej, również w języku niemieckim "Betta Marian syn Pawła i Antoniny". Oprócz tego z dołu, gdzie były ofiary, wydobyto również dwie druciane pętle, jedna z nich była przyczepiona do prawej ręki zniszczonych zwłok /tylko kości/ co doprowadza do wniosku, że niektóre ofiary miały skrupowane ręce.

Przedmioty powyższe, ponieważ mogą służyć do ustalenia, że pomiędzy ofiarami znajdują się osoby, które właśnie przy pomocy tych przedmiotów mogą być rozeznane, Sąd zabezpieczył w ten sposób, że oddał je Oddziałowi Polskiego Czerwonego Krzyża w Skierniewicach, w osobie Prezesa inż. Górskiego Józefa. Przedmioty i garderoba, które uległy całemu zniszczeniu, Sąd polecił zakopać w dole po wydobytych ofiarach.

Miejsce i dół z którego wydobyto zwłoki i same zwłoki kilkakrotnie fotografowano. Po ustaleniu że z dołu wydobyto już wszystkie zwłoki, dokonano obliczenia, obliczono czaszki. Czaszek według dokładnego obliczenia ustalono siedemdziesiąt osiem /78/.

Na tym protokół w dniu dzisiejszym o godz. 20.30 zakończono. Część wydobytych zwłok umieszczono w trumnach. Pozostałe zwłoki oraz przygotowane trumny, pozostawione zostały do dnia jutrzejszego pod strażą funkcjonariuszy MO w Skierniewicach, którzy otrzymali polecenie od swoich władz pilnowania w ciągu nocy aż do przybycia komisji w dniu jutrzejszym o godz. 8.00.

P R O T O K O Ł

Dnia 15 września 1945 r. o godz. 8.00 Sąd Grodzki w Skierniewicach w składzie jak wyżej i w obecności osób wyżej wskazanych, przybył na miejsce w celu załadowania zwłok i szczątków ofiar bestialstwa niemieckiego. Pozostałe wydobyte zwłoki załadowano do następnych dostarczonych przez Zarząd m. Skierniewice trumien. Wydobyte zwłoki umieszczono w 17 trumnach i 2 skrzyniach. Przed ruszeniem uroczystego konduktu pogrzebowego, dokonano zdjęć fotograficznych, a następnie trumny załadowano na platformy konne

i wywieziono na cmentarz rzym.kat. w Skierniewicach w celu pogrzebania.

Dół po wydobytych ofiarach zasypano zagrzebując w nim zniszczone zupełnie części garderoby ofiar. Miejsce zaznaczone zostało zakopanym krzyżem drewnianym, który uprzednio postawił jeden z członków rodziny pomordowanych ofiar.

Na tym protokół zakończono o godz. 12:15.

Podpisy nieczytelne. Pieczęć okrągła z godłem państwowym "Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich - Łódź".

Za zgodność: mgr. Antoni Galiński



Opalone czaszki ofiar ostatniego transportu z Pawiaka. W oddali widoczna głowa niedopalona/oznaczona +/-, u dołu widać opalone żebra.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.1.12.



Na zdjęciu to straż kolejowa t.zw.Banschtze.Oni na rozkaz gestapo i esesmanów podpalili jeden wagon z więźniami Pawiaka w dniu 31 lipca 1944 r. na stacji kolejowej w Skierniewicach. Po wojnie złapani przez ludność musieli odkopywać mogiłę swych ofiar. Nr.archiwum Gross-Rosen 1.5.1.13



Odkopywanie mogiły spalonych

Nr archiwum Gross-Rosen
1.5.1.14



Odkopane szczątki ciała trzeba było prezentować Komisji.
Na zdjęciu jeden z oprawców prezentuje odkopaną nogę.
Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.1.15



Znalezione szczątki składano do trumny.
Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.1.16



Przemarsz ulicami miasta Skierniewic na miejscowy cmentarz, gdzie spoczywają ekshumowane zwłoki spalonych więźniów Pawiaka. Pod sztandarem więźniarskim idą byli więźniowie ostatniego ewakuacyjnego transportu z Pawiaka do Gross-Rosen, którzy doczekali wyzwolenia. Nr arch.Gross-Rosen 2.9.1.2.